

Polska odniosła sukces w obronie praw dzieci w UE

29 grudnia 2018

Polskie dzieci za granicą, umieszczane w przyszłości w rodzinach zastępczych, będą trafiać tylko do rodzin o tej samej tożsamości kulturowej. Odpowiednie zmiany w rozporządzeniu Bruksela II BIS zostały przyjęte w Unii Europejskiej. Polska wraz z Łotwą i Węgrami wystąpiła w charakterze inicjatora poprawki.

Dotychczas, mimo obowiązywania Konwencji Praw Dziecka w Unii Europejskiej, nie zważano na tożsamość kulturową dziecka, które przekazywane było do rodziny zastępczej. Wielokrotnie nagłaśniane były sytuacje, w których polskie dzieci umieszczano w rodzinach nieznających języka polskiego, wyznających inną religię. Szczególnie wiele takich rodzinnych tragedii odnotowywano z udziałem niemieckich Jugendamtów i norweskich Barnevernetów. Z podobnymi problemami mieli do czynienia rodzice również innych narodowości.

Z inicjatywy Polski, Łotwy i Węgier Unia Europejska uchwaliła poprawki do tzw. rozporządzenia Bruksela II BIS. Zgodnie z nimi sądy w Unii Europejskiej, które będą rozpatrywały sprawy jakiegokolwiek dziecka i zajdzie potrzeba umieszczenia go w rodzinie zastępczej, będą musiały badać, z jakim krajem to dziecko jest związane, z jaką kulturą, w jakim środowisku się wychowywało, w jakiej rodzinie, w jakiej religii.

Wagę tych zmian w ustawodawstwie unijnym dla sytuacji w rodzinach migranckich skomentował w rozmowie ze Sputnikem prezes Zarządu Polskiego Stowarzyszenia Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech Wojciech Leszek Pomorski, który z własnego doświadczenia wie, jak bezwzględnie działają Jugendamty w Niemczech.

– Jak długo trwała walka o te poprawki w rozporządzeniu

unijnym?

– To, że doszliśmy do tego, to jest też wynik ciężkiej pracy Stowarzyszenia. Doczekaliśmy się tego dopiero po 16 latach, od czasu, kiedy moim dzieciom zabroniono mówić po polsku. Przypadek Iwonki Polonii i Justynki Pomorskich, moich córek porwanych z domu, był znany, bo sam informowałem media. Wtedy ten temat wypłynął. Zmusiłem nawet Niemcy do przeproszenia mnie w Parlamencie Europejskim 7 czerwca 2007 roku przez reprezentantkę Niemiec panią Willę Schindler. Jako jedyny byłem przeproszony! Nikt, ani Grecy, ani Rosjanie, Hiszpanie czy Uzbegy, nie doczekał się przeprosin. Wracając do rozporządzenia, trzeba pamiętać, że oni mają trzy lata na to, aby się do niego dostosować. To jest szokujące, że takie rzeczy miały miejsce w państwie, które się uważa za cywilizowane. W Niemczech dyskryminacja ze względu na orientację seksualną nie istnieje, ale dyskryminacja ze względu na język i pochodzenie jest straszna. To dotyczy zwłaszcza nas, ludzi pochodzących ze Wschodu, szczególnie Polaków. To czuje się na każdym kroku. W Niemczech jest nas około trzech milionów. Każdy, kto przyjechał i jest mądrym i spostrzegawczym, to zaobserwuje takie różne zjawiska. Przecież 16 lat temu, kiedy porwano mi dzieci, nikt w Polsce nie znał tego słowa „Jugendamt”. Mało kto wiedział, że coś takiego istnieje. Dopiero po nagłościeniu mojego zakazu rozmowy z dziećmi po polsku i tragicznych sytuacji innych ludzi, którzy zgłaszali się do mnie o pomoc. Na przykład rodzinie katolickiej zabrano dzieci i oddano do dwóch pań. Ciężko to nazwać rodziną – to były dwie lesbijki, a dzieci były wychowywane w systemie konserwatywnych wartości. Ja informowałem nasz rząd, naszych parlamentarzystów. Sprawa była nagłaśniana i dzięki temu pojawiły się poprawki do rozporządzenia Bruksela BIS. A przypadków jest dużo. Mogą państwo mi wierzyć, czasami jest to siedem telefonów dziennie.

– Rozumiem, że po tym przykrym doświadczeniu w Pana osobistym życiu pojawił się pomysł utworzenia Stowarzyszenia?

– A Stowarzyszenie powstało niejako samoistnie. Walczyłem o moją godność, o prawo do widzeń dzieci, o zniesienie absurdałnego zakazu rozmowy z moimi dziećmi w języku polskim podczas widzeń pod nadzorem Jugendamtu (a nie było żadnej innej możliwości spotkań). Ludzie się o tym dowiedzieli z mediów i samoistnie się do mnie zgłaszali. Później 18 lutego 2007 roku zostało zarejestrowane w sądzie Polskie Stowarzyszenie Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech. Organizacja niemiecka, działająca w Niemczech.

– Co Pan konkretnie może zrobić. Jak Stowarzyszenie pomaga?

– Są rzeczy, o których wolałbym nie mówić przez telefon. Tą są poufne sprawy, tu obowiązuje tajemnica, jak na spowiedzi. Jeżeli są ludzie w jakiś sposób sprawdzeni, bo trzeba upewnić się, czy ich historie są wiarygodne, czy nie ma konfabulacji, ile jest faktów i wymysłów, czy rzeczywiście zachodzi dyskryminacja. Jeżeli tak jest, i mamy do czynienia z przypadkiem dyskryminacji ze względu na język i pochodzenie, to wkraczamy do akcji. Nasze możliwości są wszechstronne.

– Czy macie do dyspozycji prawników, detektywów?

– Ja miałem prawników i wyciągnęli ode mnie 80 tysięcy euro i nic nie załatwili. Jeżeli chodzi o prawników, to byłbym tu ostrożny. Ja bym żadnego prawnika nie polecał, bo jesteśmy w stanie pomóc bez prawników. Znam różnych ludzi, ale naprawdę z wielkim dystansem podchodzę do tego zawodu. Ludzie nazywają często ich sępami, którzy tylko dybią, żeby sprawy jak najdłużej trwały, jak najdłużej pączkowały, bo im spraw więcej, tym więcej taki pasożyt zarabia na ludziach. Człowieka w porządku z zasadami, prawnika, adwokata jest naprawdę bardzo ciężko znaleźć. Kuriozalna sytuacja – gdy miałem dobrego adwokata, to Jugendamt skarżył się, że „On ma dobrego adwokata i musimy jeszcze bardziej się na nim skoncentrować”. To są często sprawy ambicjonalne dorosłych, bo nie chodzi tu o dobro dziecka. Mam wgląd do akt nie tylko swoich i wielu innych ludzi, którym pomagałem. Tam jednoznacznie jest napisane

„Jeżeli Pomorskiemu pozwolimy rozmawiać z dziećmi po polsku, to wszystkie inne narodowości w Niemczech też będą chciały rozmawiać w swoich językach narodowych.” Czyli wniosek jest jasny. Nie chodzi o dobro dzieci, tylko chodzi o jakieś „widzi mi się” organizacji, która nie jest w ogóle kontrolowana przez pedagogów, ministerstwa. A powody rodzinnych tragedii z zabieraniem dzieci są często zmyślane. Donosy pisane przez krewnych, znajomych Jugendamtu, anonimowe listy. Często prowadziliśmy takie procesy, gdzie ludzie nie mogli się dowiedzieć, kto napisał donos. To jest nie do przejścia. Często są to zwykłe pomówienia, dowolne, można mówić, co się chce. Jak się zabierze dziecko, to te pomówienia pączkują. Na przykład twierdzi się, że dziecko było ponoć bite, ale nie stwierdzono tego, dziecko nic nie mówiło, nie ma jawnych śladów pobicia. Ale może być jeden siniak, bo wiadomo, jak to małe dzieci. Szczególnie chłopcy – piaskownica, przewróci się, uderzy się o coś. No to już jest wniosek, że rodzice maltretują. Jak się nie uda tego udowodnić, to są alkoholikami, narkomanami. Jeżeli testy wątrobowe wykluczają alkoholizm, testy paznokci i włosów wykluczają narkotyki, no to wtedy, że jest psychicznie chory. I tu już jest ciężko.

Z Wojciechem Leszkiem Pomorskim rozmawiał Sputnik

Źródło: pl.SputnikNews.com